

OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5

CHOJNICE

Nr. 21

Ewangelja.

W on czas: mówił Jezus uczniom swoim. Gdy przyjdzie pocieszyciel, którego Ja wam pošę od Ojca, Ducha prawdy, który od Ojca pochodzi: On o mnie świadectwo dawać będziecie, bo ze mną od początku jesteście. Tom wam powiedział, abyście się nie gorszyli. Wyłączą was z bóżnic: ale idźcie godzina, że wszelki, który was zabije, mnie mać będzie, że czyni posługę Bogu. A to wam czynią, iż nie poznali Ojca, ani mnie. Ale to wam powiedziałem; abyście gdy ta godzina przyjdzie, wspomnieli na to, że Ja wam powiedziałem.

Nauka.

Wiara św. uczy nas, że Pan Bóg jest jeden w swojej istności i naturze, ale we trzech osobach: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch św.; że te trzy osoby są sobie równe we wszystkich doskonałościach swoich.

Wyznajemy tę tajemnicę ludzkim rozumem niepojętą, ile razy czynimy na sobie znak krzyża św., lub też odmawiamy: Chwała Ojcu, Synowi i Duchowi św.

Duch św. więc jest trzecią osobą Trójcy Przenajświętszej, jest Bogiem prawdziwym, równym we wszystkim Bogu Ojcu i Synowi Bożemu.

Tę trzecią osobę Trójcy Przenajświętszej nazywamy Duchem św., chociaż duchami czystymi są aniołowie, których Bóg do posługi naszej używa; duchami są dusze ludzkie, chociaż Duchem św. jest cała Trójca Przenajświętsza, jako źródło wszelkiej świętości. Ewangelista Jan św. powiada bowiem: Duchem jest Bóg i którzy Go czczą, potrzeba, aby w duchu i w prawdzie czcili. Ale osobliwie Duchem św. nazywamy trzecią Osobę Trójcy Przenajświętszej, iż innego nie mamy słowa na wyrażenie tej przedziwnej miłości Boga Ojca i Syna Bożego.

Ten to Duch św., jak w Piśmie św. czytamy, unaszał się nad wodami i jakoby je upładniał, gdyż ziemia była bezkształtna i pusta, jakby głęboka i ciemna przepaść wszechmocności Bożej.

Duch św. to sprawił, że Żydzi morze Czerwone, jako gościńcem, suchą nogą przeszli. On to sprawował dziwne znaki, dla których Faraon zmuszony był wypuścić Izraelitów z niewoli. On to jest tym palcem Bożym, który wyrzył dziesięć Przykazań na tablicach kamiennych. On to jest tym duchem podwójnym nauki i cudów, którego odebrał Elizeusz prorok. On to napełnił mądrością Salomona, rozumem Daniela, radą Józefa, mocą Samsona, umiejętnością Mojżesza, pobożnością Dawida, bojaźnią Hioba i dziwnymi a plęknymi cnoty przyodzabia dusze świętych. Od Ducha św. mają moc uświęcającą nasze Sakramenta. Słowem wszelka świętość, jaka jest na niebie i na

ziemi od Niego pochodzi; dla tego św. Paweł apostoł nazywa Go Duchem poświęcenia.

Dzisiejsza Ewangelja św. nazywa ducha św. Duchem Prawdy: Gdy przyjdzie pocieszyciel, którego Ja wam pošę od Ojca, Ducha Prawdy, który od Ojca pochodzi. On bowiem przypominając apostołom naukę Chrystusową, rozpędził ciemności błędów, jakie zalegały świat pogański, który nie znał prawdziwego Boga, ani jak Go czcić należy; który najbrzydsze występki, o jakich pomyśleć bez zgrozy nie można, uśwlecał.

Ten Duch Boży, który od początku Kościołem świętym rządził i kierował, sprostował te błędy i nauczył ludzi, kto jest ich Stwórcą i Panem i jak Boga tego należy czcić w duchu i w prawdzie. Amen.

Męczennik tajemnicy Spowiedzi św.

Umęczonych za tajemnicę spowiedzi św. jest więcej, niż ludzie przypuszczają. Najbardziej znany jest św. Jan Niepomócen. Opowiemy tu o innym, mniej znanym.

Ksiądz Piotr Marleleux był podczas peruwiańskiej wojny wolnościowej wojskowym kapelanem hiszpańskiej załogi portowego miasta Callao, o parę godzin drogi na wschód od Limy, Stolicy Peru.

Wieczorem 25 września 1825 r. przywołał go naczelnik załogi, brygadjer Ramo Rodil: „Mamy trzynastu więźniów, skazanych na śmierć. Teraz godzina szósta. Ks. kapelan ma trzy godziny czasu, aby ich wypowiedać i przygotować na śmierć“.

Kapelan spełnił to zlecenie i o dziesiątej godzinie więźniowie zostali rozstrzelani. Byli to oficerowie armji hiszpańskiej, oskarżeni o zdradę stanu, ale do winy się nie przyznali i nie była im udowodniona. Rozeszła się tylko pogłoska, jakoby niezadowolona załoga uknuła spisek. Właśnie dnia tego dowiedział się o tem komendant, przyczem go upewniono, że o dziełwłatej wieczorem bunt ma się rozpocząć. Spiskowcami mieli być oficerowie, najbardziej zaufani, a na czele stał jakoby Montero, oficer najwięcej poważny. Nie tracąc ani chwili czasu, komendant kazał ich uwiezić, a choć uporczywie się zapierali, postanowił ich rozstrzelać, aby uniknąć niebezpieczeństwa.

O dziełwłatej, o tej właśnie godzinie, o której jakoby chcieli go zamordować, zostali rozstrzelani, ale Rodil, mimo to nie czuł się bezpiecznym.

— A może jest jeszcze więcej spiskowców, którzy pozostali przy życiu i teraz myślą o zemście? Nie będą miał chwili spokoju. Ale co mogli powiedzieć rozstrzelani spowiednikowi? Przed nim zapewne nic nie utali, on musi znać najdrobniejsze szczegóły spisku. On mi to musi powiedzieć. —

Wezwano kapelana.

— Ojcie, ci skazani zapewne ci wyjawili na spowiedzi wszystkie szczegóły spisku. Znasz zatem ich plany i wiesz, kto jeszcze do spisku należy. Musisz więc koniecznie o tem powiedzieć. W imieniu króla żądam od ciebie, abys nic nie zataił i wszystko mi opowiedział.

— Panie generale, odrzekł ksiądz, pan wymagasz ode mnie rzeczy niemożliwej; nie mogę wyjawić tajemnicy spowiedzi św., nie narażając na zgubę mojej duszy. Tego w żadnym razie nie uczynię. I gdyby nawet król był tu obecny i wymagał tego ode mnie, Bóg by mnie uchronił od spełnienia takiego rozkazu.

Generałowi krew uderzyła do głowy. Zerwał się na nogi, pochwycił kapelana i krzyknął:

— Mnichu, powiedz mi wszystko, inaczej cię rozstrzelam!

Ksiądz odrzekł spokojnie:

— Jeżeli Bóg chce, bym został męczennikiem, niech się dzieje Jego święta wola. Żaden kapłan Pański nie wyjawia Jego tajemnicy.

— A więc nie chcesz mi powiedzieć mnichu, zdrajco twego króla, chorągwi i twego naczelnika?

— Jestem wierny królowi i chorągwi, ale nikt nie ma prawa wymagać odemnie, abym stał się zdrajcą mego Boga, w tym razie nie wolno mi słuchać pana.

Nie czekając ani chwili dłużej, komendant kazał kapitanowi przywołać czterech żołnierzy z nabitymi karabinami.

— Na kolana mnichu! ryczał rozwścieklony komendant.

Ksiądz usłuchał.

— Po raz ostatni w imieniu króla rozkazuję ci wydać mi tajemnicę!

— W imieniu Boga nie mogę tego uczynić, — odrzekł kapelan spokojnym ale stanowczym głosem.

— Ognia i zakomenderował naczelnik. Tak legł ksiądz Piotr Marleleux, przeszyty czterema kulami, jako męczennik za zachowanie tajemnicy spowiedzi.

Kardynał Wiseman.

FABIOLA.

Część pierwsza.

Chwile rozejmu.

Jeszcze wczas było, gdy Torkwatus pożegnał Kasjana, i pod pozorem interesu, który miał do załatwienia w mieście, nie dozwolił, aby go odprowadzał. Kupił sobie piękniejszą odzież, udał się do najlepszej gospody i obstał parę koni z woźnicą na dalszą drogę, gdyż chcąc dopełnić zlecenia Fabioli, musiał jechać dzień i noc, zmieniając konie za każdym popasem. Tak też jechał aż do Bowleil na początku Albańskich wzgórz. Tu wypoczął, zmienił odzież i jechał wesoło ulicą grobów prowadzącą do bramy stolicy, której mury więcej złego i dobrego zawierały, niż wszystkie razem wzięte prowincje państwa.

ROZDZIAŁ XVII.

Upadek.

Torkwatus, strojnle ubrany, udał się do domu Fabjusza, oddał list, odpowiedział na wszystkie zapytania i przyjął bez wielkiego nalegania zaproszenie na wieszczę tego samego dnia. Szedł potem szukać mieszkania stosownego do terazniejszego stanu kleszeni i z łatwością je znalazł.

Fabjusz, jakśmy rzekli, nie towarzyszył córce na wiesz, i rzadko ją odwiedzał. W istocie nie miał

upodobania w zielonych łąkach i mrujących strumykach, wolał pogadanki i wolnomyślące towarzystwo rzymskie. W ciągu roku przytomność córki pozbawiała go części ulubionej wolności; lecz gdy pani domu z dworem swoim odjeżdżała do Kampanji, dom Fabjusza ożywił się i napełnił ludźmi, którychby nigdy przy córce nie dopuścił. Rozpustnicy otaczali stół jego, a nieumiarkowane płcie do późnej nocy z grą i wyuzdaną rozmową następowało po sutej uczcie. Zaprosiłszy Torkwata na wieszczę, szedł Fabjusz szukać innych gości, których niebawem napotkał w pobliżu dobrze mu znanych miejsc, wyglądających jego zaprosin. Wracając spostrzegł dwóch ludzi; ku jednemu z nich przystąpił z serdecznym uściskiem: — Jak się masz Fulwjuszu? od wieków cię nie widziałem; pójdz na wieszczę do mnie; zaprosiłem kilku przyjaciół, mam nadzieję, że twój przyjaciel zechce ci towarzyszyć. Wszak to Korwin, jeśli się nie mylę? — Korwin odpowiedział ukłonem. — Dziękuję ci, odrzekł Fulwjusz, lecz nie mogę, bo już jestem zaproszony na dzisiejszą.

— Żarty! rzekł dobroduszny Fabjusz, prócz mnie niema nikogo w mieście, u kogobys mógł być na wieszczę. Lecz czy w moim domu morowe powietrze, żeś u mnie nogą ani razu nie postął od owego obladu, przy którym się z Sebastianem kłóciłeś? albo czy cię jakie czary odstraszyły?

Fulwjusz pobrał, i biorąc Fabjusza na bok, powiedział: — Prawdę powiedziawszy, coś podobnego do czarów.

— Spodziewam się, odrzekł Fabjusz nieco zadziwiony, że nie od naszej czarnej niewolnicy; dałbym wiele za to, żeby pozbyć się jej z domu. Lecz — mówił dalej wesoło, — myślałem doprawdy, że cię innego rodzaju czarodziejka opanowała tego wieczora. Widziałem, że nie spuściłeś oczu z mojej krewnej Agnieszki a jeżeli tak jest jak myślę, to ci muszę wyjawić, że mi się zwierzyla i z klejnoty twoje zdobyły jej serce. Jestem przekonany, że tylko o tobie mogła w ten sposób wspominać.

Fulwjusz myślał, że mowa o kosztownych klejnotach, które na sobie nosił, a Fabjusz wspominał o darach, które jak mniemał, Agnieszka od Fuljusza otrzymała.

Pomimo powierzchownej oziębłości, nie trudna do zdobycia, pomyślał Fulwjusz, i widział już dostojęstwa i bogactwa, jakie go czekały, jeżeli zwręcznie sprawę swoje poprowadzi; gdy Fabjusz przerwał mu błogie marzenia, mówiąc: — Nalegaj tylko śmiało, a zapewniam cię, że odniesiesz zwycięstwo mimo niechęci Fabioli, której się obecnie nie potrzebujesz obawiać, gdyż z dworem swoim wyjechała; nie będzie przeto i na uczcie dzisiejszej.

— Przyjdę z pewnością, odrzekł Fulwjusz.

— I Korwin z tobą, dodał Fabjusz, oddalając się.

Nie będzemy szczegółowo opisywać uczty, powiemy tylko, że najrzadszy wina płynęły tak obficie, że prawie wszyscy goście podochocili sobie, jeden Fulwjusz zachował całą przytomność swoją.

Rozmowa toczyła się na ulubiony temat, opowiadano sobie różne zmyślone anegdotki o chrześcijanach, każdy coś dorzucił na ich potępienie.

Jeden nie mógł znieść ich tajemniczości, drugi widział w nich przeciwników prawdziwej wielkości państwa, inny w wierze chrześcijańskiej upatrując obcy żywioł, chciał, by chrześcijanie z państwa byli wyrzuceni. Jeden gorszył się ich nauką niegodziwą, inny obyczajami haniebnymi. Podczas tych rozpraw, a raczej jednogłośnych krzyków, Fulwjusz przeszedłszy wzrokiem wszystkich gości, wlepił badawcze oko w Torkwata. Młodzieniec milczał, lecz lica jego naprzemian białdy i rumieńcem się pokrywały. Wino pod-

nlecało oburzenie inną jakąś widocznie słą tłumione. To ścisłał pięści i do piersi przyciskał, to wargi przygryzał. To kruszył konwulsyjnie chleb w palcach, to bezprzytomnie wychylał puhary wina.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŁZY MATKI BOŻEJ.

Legenda.

Było to wtedy, gdy Matka Boża chodziła jeszcze po ziemi, nieszczęśliwych pocieszała, smutki koiła, łzy ocierała, a mały Jezus, Mądrość przedwieczna, świadek przyczystego Jej żywota, wtedy już wiedział, że przez długie wieki i aż do końca świata biedni wygnañcy z padolu łez zwracać się będą ku Jego Matuchnie, błagając w pokorze o pomoc w niedoli, a z ust milionów, z pałaców i poddaszy, podpłyną w niebiosy słowa rzewne i modlitwy: „Pod Twoją obronę, pod Twoją opiekę, uciekamy się święta Boża Rodzicielko! Pośredniczko nasza! Matko i Opekunko nasza! przyczyn się za nami!”

Dzień się miał ku schyłkowi. Cichy i ciepły wieczór letni nadchodził po pogodnym dniu.

Słoneczko schowało się już do połowy po za brzoźowym laskiem, gęsto podszytym kępami rozłożystej paproci, leciuchny wiaterek niósł łagodne posiewy i woń z siana świeżo skoszonej łąki; ptaszki świergozcząc wracały do gniazd swolch, tuż w pobliskim stawie żaby rozpoczęły pleśń monotonna, roje muszek brzęczały w powietrzu, przesyconem tchnieniem wiosennem a i z włoski, co długim szeregiem chat rozłożyła się pod lasem, dochodziły odgłosy rozmów i nawoływań, ryk bydła i psów szczekanie.

Tam życie wrzało jeszcze w całej pełni, a na szerokiem polu w promieniach zachodzącego słońca srebrzyło się dojrzewające żyto, pełne i ciężkie kłosa chyliły się leciuchno ku ziemi wiatrem poruszane, łan zielonej jeszcze pszenicy rozciągał się po drugiej stronie miedzy, tu i owdzie mak butnie wychylał czerwoną swą główkę lub mile nęcił oko modry bławatek i różowy kłokol, miedzą zaś szła Marja, prowadząc za rączkę małego Jezusa.

Matuchna Boża, ta Lekarka cudowna, „Uzdrowienie chorych”, wracała z pobliskiej wioski, dźwigając w ciężkiej niemocy ubogą wyrobnicę.

Szła słodko uśmiechnięta, pochyłona nieco ku gwarzącemu roztropnie Synaczkowi, a promień zachodzącego słońca, kładł im się kornie pod stopy w niemym holdzie.

Wokoło spokój był i cisza. Nagle od strony włoski rozległ się gniewny krzyk niewieści i łajanie. Z chaty wybiegła dziesięcioletnia uboga odziana dziewczynka płacząc żałośnie.

— Matusz moja, matusz, czemuś mnie odeszła? co ja pocznę biedna na świecie? — skarżyła się boleśnie, załamując drobne wychudzone rączyny, łkanie wstrząsało się z krwią sącząca się ze zranionego czoła.

— O matusz, moja matusz! zabierz mnie do siebie. O matusz nie zostawiaj samej sieroty... — zawodziła dziewczynka tak żałośnie, że kamień by się wzruszył, a cóż dopiero pełne niewyczerpanej litości Serce Marji.

— Co ci to, dziecko? — spytała łagodnie, podchodząc ku niej.

Dziewczynka ucichła i ukryła twarz w dłoniach drżąc jeszcze cała od wewnętrznego wzruszenia.

— Co ci to, dziecko? — spytała łagodnie, przyglądając dłonią jej rozrzucone włosy.

Zalęknione oczy pełne łez podniosły się ku słodkiej twarzy Matki Bożej.

— O Pani! ratujcie sierotę! — zawołała żałośnie i rozplakała się znowu.

— Biedactwo... widzę krew na twem czole. Kto cię zranił? kto cię skrzywdził, sierotko? Nie płacz, ranę obmyjemy i opatrzymy, a wkrótce i śladu nawet z niej nie będzie — mówiąc to, „Marja wydobywała już z zawiniątka płótno i maść gojącą.

Mały Jezus, przyglądając się temu w milczeniu, pobiegł ku dziewczynce i podając jej wiazankę świeżo zerwanych polnych traw i kwiatków, rzekł z dziecięcą pieszczotą:

— Nie płacz, kwiatki takie ładne, będzie z nich śliczny wianeczek! nie płacz!

Mimo to łzy płynęły z oczu małej; przestraszona obawa malowała się w wyrazie bladej twarzyczki, a niespokojne spojrzenia biegały trwożnie ku włosce.

Spostrzegła to Matka Boża.

— Czego się trwożysz, dziewczeczko? — spytała łagodnie — zaraz ci ranę opatrzę i powrócisz do ojca.

— Ja nie mam ojca — szepnęło dziecko.

— Więc masz zapewne rodzeństwo?

— Mam tylko macochę, a ona tak mnie bije, катуje... dzisiaj kazala mi podźwignąć wiadro wody, nie moglam, woda się rozlala i za to ona tak mnie ukarala — mówiła sierota przerywanym głosem.

Głęboki cień smutku padł na słodkie oblicze Marji.

— Biedactwo... — szepnęła, a głośniejsz dodata:

— Więc tak ci źle na świecie, dziewczeczko?

— Oj, źle: dawniej bywało, gdy matusz moja żyła, to upieściła swoją Rozalkę i ukochała, ale matusz zawieźli na cmentarz... potem to i ojciec nie krzywdził ale macocha... o! ona mnie zabije — dokończyła z płaczem sierota.

— Bądź dobrem, cierpliwem dzieckiem, to i druga twoja matka ulagodzi cię i pokocha cię z czasem — rzekła Matka Boża pojednawczo.

— O nie! ona mnie pokocha; nie kto tak bijeten nie kocha — szepnęło dziecko — i odchylając ubogie swe szaty, pokazało ranami okryte ramiona i plecy.

Matka Jezusa pochylila się nisko ku temu krwawemu świadectwu nieludzkiego okrucieństwa: słowa zamary jej na ustach, a z słodkich oczu popłynęły łzy bólu i litości. Spływały cicho, ciężkie i wielkie na płową i rozdartą głowinę dziewczynki, na wiazankę kwiatów w wychudłej rączce dziecka, na polne trawy, obficie zarastające brzegi miedzy.

W promieniach zachodzącego słońca łzy Matki Bożej jak najcenniejsze brylanty, mienily się wszystkimi barwami tęczy, a Ona tymczasem dokonywała dzieła miłosierdzia, opatrując lekko i zręcznie krwawiące się jeszcze rany biednej sierotki.

Mały Jezus przysiadł u nóg Matki (na miedzy i gwarzył sobie z cicha do polnych kwiatków, do robaczków snujących się tu i owdzie, do kamyków przydrożnych, zwyczajnie jak dziecko.

Cisza i spokój panowały wokoło, wietrzyk tylko leciuchno potrącał o łan pszenicy, szumiącej tajemniczo i pochylał ku ziemi pełne, chlebobojne kłosa żyta, zapóźniona ptaszyna spleśząc do gniazdko, świergotała w przestworzu, na pogodnym niebie gonily się lekkie i jak puchy rozsypane chmury, a z łagodnych oczu Marji Najświętszej płynęły łzy bólu i litości.

Duże i ciężkie, mieniące się krwawo, zawisły na polnej trawie, zwanej pospolicie „drzączką” i przez wieki rozmnożone w tysiące, przypominają nam podobnie dzieło Cudowną Lekarkę „Uzdrowienie chorych”, do której wnoszą się błagalne myśli i serca nasze, a z ust milionów i ze wszech krańców świata płyną słowa gorącą miłością i wiarą natchnione:

„O Marjo, Pocieszycielko strapionych! Wspomożenie wiernych módl się za nami!”

Różaniec w dawnych gminach japońskich chrześcijan.

Prześliczny żywot księcia Augustyna Tsukamidono świadczy, iż różaniec znany był chrześcijanom japońskim w odległych już czasach.

Księżę Tsukamidono piastował godność głównego admirała japońskiego floty i jako taki nie małe oddawał usługi cesarzowi i ojczyźnie. W wojnie z Koreą (1590—1593) rozporządzał 200 000 armią, złożoną po większej części z samych chrześcijan. Powróciwszy ze zwycięskiej kampanji do kraju, należał do najwybitniejszych mężów państwa. Można sobie wyobrazić z jaką dumą spoglądali na swego wodza.

Atoli nie długo trwało to nadzwyczajne powodzenie Tsukamidona. Zorganizowane obecnie według nowoczesnych zasad państwo japońskie było dawniej widownią wewnętrznym waśni i częstych [przewrotów. Właśnie wtedy niejaki Dajfusama, samozwaniec, wyciągnął rękę po koronę cesarską, która według prawa należała się wnukowi krwi zmarłego władcy. Rozgorzała zacięta walka. Księżę Tsukamidono stanął po stronie prawego następcy tronu, lecz tym razem niesprzyjało mu szczęście. Poblity na głowę, dostał się do niewoli zwycięzcy. Dajfusama objął rządy i rozpoczął krwawe prześladowanie chrześcijan, których uważał za wrogów społecznego porządku. Tsukamidono wiedział dobrze, że nie może liczyć na żadne względy zwycięzcy. Istniał i po dziś dzień istnieje zwyczaj w Japonji, iż zwyciężeni nie czekają na śmierć z ręki wroga, lecz sami odbierają sobie życie. Zwyczaj ten uważany przez Japończyków za rzecz honorową, nazywa się harakiri. Tsukamidono, wierny uczeń Chrystusa nie mógł użyć tego środka, postanowił tedy przyjąć wszystkie cierpienia i śmierć samą z rąk Boga, jako pokutę i należną Mu daninę. O jedno tylko prosił sędziów, aby mu pozwolono zobaczyć się z katolickim misjonarzem, ale napróżno.

Przed egzekucją, wyrządzono mu największą wzdargę, jaka może spotkać dostojnego Japończyka: mianowicie prowadzono go na miejsce straceńca przez najnudniejsze ulice miasta wśród obelg i przekleństw tłumów. Podczas tej bolesnej drogi przypadł do skazanego jakiś młodzieniec i oznajmił mu, iż misjonarze mimo wszelkich wysiłków, nie mogli wyprosić pozwolenia na udzielenie mu Sakramentu św., że przeto sam zalem i ochotną śmiercią dla miłości Jezusa powinien zmyć swoje przewinienia. „Podziękuj odemnie kapłanom za ich troskę i dobro mej duszy i oświadczyj im, iż chętnie umieram za wiarę świętą” — brzmiała odpowiedź.

Po tych słowach bohaterski księżę rozpoczął odmawiać Różaniec, trzymając go wysoko ponad głową, aby wszyscy widzieli, iż wcale nie myśli porzucić chrześcijańskiej wiary. Poczem ucałował obraz Chrystusa Pana, który otrzymał w darze od siostry cesarza Karola V.; a upadłszy na kolana, pochylił głowę, oczekując śmierci. Po dwakroć uderzył miecz kąta o szyję męczennika i dopiero za trzecim razem potoczyła się jego głowa na ziemię.

W jedwabnej odzieży, jaką przywdział księżę na śmierć, niby na gody znalazłono list, który kilka dni przedtem napisał do żony i dzieci: „Ufam silnie, piszę iż cierpieniami okupię część pokuty, jaka mnie czeka na drugim świecie. Wyznaję, że przyszło to wszystko na mnie za moje grzechy. Dziękuję Bogu za okazane mi miłosierdzie. Ostatnia moja prośba jest, abyście wiernie służyli prawdziwemu Bogu, pamięnając, że dobra ziemskie przemijają, jedynie trwa wieczność”.

Po kazaniu.

W kościółku pewnej włoski młot miejscowy proboszcz kazanie. Mówił o obowiązkach rodziców wobec dzieci, a przede wszystkim przedstawił w bardzo jaskrawych kolorach niebezpieczeństwa, w jakie rzucają się ojcowie rodzin, jeżeli zapominając o swych obowiązkach, przesładują chętniej w karczmach, niż w kółku rodzinnym. Wierni słuchali z uwagą kazania, na twarzach bardzo wielu widocznym było, że przyznają słusność wywodom kapłana, i że w przyszłości zastosują się do jego słów, inni znowu niecierpliwili się bardzo na słowa mówcy.

Wracając z kościoła do domu, rozmawiali głośno o dopiero co usłyszonym kazaniu; jedni chwaliли swego kaznodzieję, drudzy zaś, jak to często bywa, krytykowali kazanie. Jeden z mężczyzn przedewszystkiem zdawał się być bardzo obrażonym słowami kapłana.

Dnia następnego sledził ten sam człowiek w karczmie. Izba była pełna gości. Rozgniewany kazaniem wczorajszym, zaczął znowu krytykować swego proboszcza, a nawet używał słów obelżywych na niego.

— Gdybym był mógł — krzychał on — byłbym ściągnął go z ambony i za drzwi wyrzucił.

Na to odezwał się inny z obecnych:

— Mój kochany, pozwól tylko, że powiem ci kilka słów. Wczorajsze kazanie, zdaje mi się, podobne jest do kamienia, który ktoś rzucił pomiędzy zgraję psów; ten tylko pies wyje, którego kamień uderzy. Wybacz ale to ci musiałem powiedzieć.

Śmiechy i krzyki podniosły się w karczmie na te słowa, a ten, do którego te słowa były zastosowane, gniewał się jeszcze więcej, że przez swoją głupotę napłętnował się sam na takiego, który po całych dniach w karczmie przesładuje.

Wesoły kącik.

Rodowód.

— Czy to prawda — spytał pewien zarozumiały arystokrata Aleksandra Dumasa — że pański ojciec, generał Dumas, był mulatem?

— Istotnie — odparł słynny pisarz — ojciec mój był mulatem.

— W takim razie dziadek pański był murzynem.

— Tak, panie.

— A pradziadek?

— Był małpą, kochany panie. To jest mój rodowód tam się zaczyna, gdzie się pański kończy!

Trafił frant na franta.

Pasażer zgromił dorożkarza za konia okaleczonego na grzbiecie. Dorożkarz, przez wdzięczność, włókł się niedbale, chociaż pasażer nalegał i prosił o szybszą jazdę. Gdy wreszcie stanął u celu, dorożkarz, na zarzuty niedbalej jazdy, odpowiedział drwiąco:

— Nie mogę pędzić, bo należę tak samo, jak pan, do Towarzystwa Opleki nad zwierzętami.

Pasażer z sumy przeznaczonej za jazdę, odjął dwadzieścia groszy i chowając je do kieszeni oznajmił:

— Chciałem wam dodać na piwo, ale nie mogę, bo należę do Towarzystwa Wstrzemięźliwości.